

NUMER POJEDYŃCZY 10k.

ZŁOTY RÓC  
ILUSTROWANY  
TYGODNIK  
LITERACKI ARTYSTYCZNY  
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i  
ADMINISTRACJA  
WARSZAWA  
UL. MAZOWIECKA N°5  
TEL. N° 226-83.

N°

WARSZAWA  
DNIA 14 STYCZNIA 1912 R.

4



Do powieści „Stare światy“.

Antoni Gawiński.

Wszedł — spojrzal — zatrzymał się... i warknął — —

# WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.



nawet gdy podporucznik odurzony mlekiem, którego od miesięcy nie smakował, legł na słomie, poczciwe zwierzę obok się układało, niby chcąc zziębniętego ciepłem swem przejąć.

Nad ranem groźne warczenie brytana obudziło pana Tomasza i obudziło w samą porę. W zagrodzie błysnęło już światło. Podporucznik czuł się wypoczętym, pokrzepionym. Ostrożność radziła mu uchodzić natychmiast, ciepły, zaciszny kąć w oborze zatrzymywał, nęcił. Panu Tomaszowi powstała myśl, że snadniej byłoby może do serca gospodarza zagrody się odwołać, że przecież nie wszyscy podwileńscy kmiecie są jedniacy, że kto wie, czy właśnie zgoła poczciwego człeka nie napotka.

Stukot odsuwanej zawory i sylwetka tęgiej przysadzistej baby, na tle rozwartych drzwi obory, zdeterminowała podporucznika. Wrzask baby atoli i zęby brytana w połowie słowa go osaczyły. Zagroda zatrzęsia się w posadach. Pan Tomasz targnął się brytanowi i wyrwał w pole, ścigany zapamiętałe przez uzbrojonych kołami chłopów.

Na szczęście w pobliżu ciągnął się szlak brzeziny. Podporucznik dopadł go, zygzażkiem śmignął i, odsadziwszy się mocno od pogoni, następującemu nań brytanowi się obronił.

I znów włókł się pan Tomasz dzień cały i noc i dzień jeszcze, omijając zdala ludzkie sadyby, wypoczywając w norach, żłobionych w śniegu, oszukując głód żuciem mchu. Aż, o zmierzchu wtórego dnia, dostrzegł, na wijącym się w pobliżu trakcie, trzy postacie włóczęgów, takich samych jak on nędzarzów. Podporucznik jął zdążyć pilnie za nimi, wążąc, czyli by nie dobrze było do nich się przyłączyć. Gdy już niemal był zdecydowanym to uczynić, — z poza wzgórza wyjrzało paśmo słomianych strzech. Pan Tomasz zawahał się. Nędzarze podczas podwoili kroku. Podporucznika to zaufanie do reszty odstręczyło. Maruderzy prawdziwi byłiby nie-

zawodnie ostrożniejsi. Dla upewnienia się jednak, ruszył bokiem za nieznanymi.

W niespełna półgodziny przecież znów pan Tomasz zmienił przekonanie. Ani chybi, musieli to być rozbitkowie francuskiej armji. Do pierwszej z brzeża chaty zapukali i nie weszli do niej — lecz, śnać rozgadawszy się, na uboczu, pod krzakami obozowisko sobie założyli. A musieli w łachmanach dźwigać nielada bogactwo, — bo wnet z chaty nanie-siono im drew, żagwi, zapasów różnych pełen kosz.

Pan Tomasz, ośmielony do reszty, zbliżył się do obozujących tak, że z poza krzaków głogu, mógł ich doskonale widzieć.

Wszyscy trzej brodacze, przybrani cudacznie w szmaty pstre, uzbrojeni w krótkie saperskie pałasze, wydali mu się typowymi maruderami. A gdyby nimi nie byli — cha, toć by przekonał do nich podporucznika jeden swąd pieczonego na ogniu mięsa, jeden widok bułki chleba.

I pan Tomasz już nie tylko zbliżyć się do uczujących był gotów, ale bodaj rzucić na bagnety dla jednego kęsa chleba — gdyby nie widok ciemnej gromadki chłopstwa, które za chatą, między opłotkami, sejmikowało. Podporucznikowi już błysnęło postanowienie, by na rozbitków zawołać, ostrzedz — lecz w tejże samej chwili do maruderów podeszło dwóch drabów z pękatą flaszą. Pierwszy z nich przepił do uczujących, czem brodaczków rozchmurzył, bo jęli giestykulować a wykrzykiwać rażno. Butla krążyła, coraz szersze zataczała kolisko, bo jeszcze dwóch innych drabów podeszło i jeszcze trzech i jeszcze... Przy ognisku wszeźła się pełna zgiełku ochota.

Podporucznik zawstydził się samego siebie i, pragnąc co tchu krzywdzącą nieufność naprawić, zsunął się w wadół, dzielący go od obozowiska maruderów. Gdy zeń się dobył i wychynał — po trzech, obdartych do naga, ciałach brodaczków deptała zgraja wyrostków.

Pan Tomasz zapał oddech. Tuż przed nim o kilkanaście kroków, drgały w śmiertelnych konwulsjach ludzkie kadłuby, traskały gruchotane kości, skwierczały oczodoły, wypalane główniami. Zgraja wyrostków szła o lepsze w okrucieństwie... Śmiech niefrasobliwy, swywolny zdał mu się skowykiem hjen.

Trwało tak dlań lata całe...

Aż znów noc, noc zbawcza nastąpiła i przywiodła ciszę i pustkę.

Podporucznik śmieiej odetchnął, orzeźwił śniegiem śpieczone usta i dźwignął się aby ujść, uciec od tych chat złowrogich. Lecz obocześnie głód zaczął mu dokuczać, a wraz z głodem nieprzewyciężona chęć przeszukania obozowiska... Pan Tomasz usiłował odrazę wzbudzić w sobie — nie mógł... Rozplaszczyl się na ziemi i jął pełznąć z wolna ku miejscu, kędy widniały, wśród śniegu, ciemne, podłużne plamy...

W kilka chwil ze zwinnością kuny, skradającej się do żeru, dosięgnął wystygłego ogniska. Instynkt go nie zawiodł. Ręce podporucznika wyczuły garść ziemniaków i ochłap mięsa. Pan Tomasz jął jeść chciwie, nie bacząc na ekliwy smak surowizny. Dopiero gdy nasycił się, postrzegł szczerzącą się doń twarz trupa. Podporucznik, mimo tylu strasznych sposobności przekonania się, że jeno

żywych ludzi strzedz się należy, — wzdrygnął się.

Lecz się zmógł dla nadziei wykrycia jakichś zapasów na drogę. I na ten koniec podpełznął ku lewej, kędy obok drugich zwłok — wśród drzazg i brewion, widniał bezładny pęk gałganów. Gdy w tem, z ponad zwłok, zaświeciła mu para zielonych, podługowatych oczu.

Panu Tomaszowi cała przytomność się zmaciła. Oczy skrzyły się ku niemu, rozpały, przejmowały wskroś, chłoneły, pętały, dławily serca bicie. Podporucznik czuł już, że mocy oczu tych nie ujdzie, że one są ostatecznym jego doli wyrokiem, że są kresem... Naraz, od strony wsi, rozległ się przeciągły skowyk kundysa...

Oczy zwięzły się raptownie, przyćmiły fosforyczne blaski. Pan Tomasz zerwał się na równe nogi. Ciemna, warująca za czerem trupa sylwetka zwinęła się błyska-



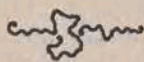
Do powieści „Wojna narodów“.

St. Bagleński.

Pan Tomasz zaparł oddech. Tuż przed nim, o kilkanaście kroków...

wiecznie, przywarła do ziemi płaski łeb, skryła w cieniu wygiętego do skoku zadu dwoje ostro sterczących uszu. Podporucznik wydał okrzyk zgrozy i rzucił w bok ku wadołowi... Z poza trupa wypadł ryś... Lecz obocześnie, od strony opłotków pierwszej chaty zakrzyknął gniewny głos...

(d. c. n.)



## EVDOE VITA.

*Życie przed nami!  
Jeszcze całe życie...  
Więc pocóż troską zasepione czola?  
Po co chmur przedzę rozsnuwać w błękicie,  
Gdy głos potężny w głębi duszy woła  
I bije w niebo jak gdyby dzwonami:  
Życie przed nami!*

*Życie przed nami  
Wielkie, jasne, nowe,  
Pełne nadziei, słońca i promieni,  
Bujne jak morza fale żywiołowe!  
Pieśń niechaj chmury w błękity zamieni,  
Precz więc dziś z troską, precz z gorzkiemi  
[łzami —  
Życie przed nami!*

Jerzy Guranowski.



## JAŚKOWE OCZKA.

*Znam taki płomyk, co rozświecić może  
Mrok duszy naszej, snużonej, tułaczej —  
— Tylko weń spojrzeć inaczej, inaczej —  
Głębiej się wpatrzeć w to światelko boże!*

*Łowić je, chwytac każde jego drgnienie,  
Niech się perelką w biedną duszę sączy:  
Srebrną niteczkę rozsnuje skroś cienie,  
Obudzi w piersi czysty ton skowronczy...*

*Choć nie rozświeci mroków blaskiem słońca,  
Przecież nad wiecznym życia pokutnikiem  
Jak mała gwiazdka, cichem srebrem drżąca,  
Zalśni przeczystych zaświatów promykiem...*

*... Ono światelko złotą skrå nie bije,  
Nie tli w niem ognia namietność zdradziecka —  
Srebrną niteczkę w mrokach życia wiję...  
— To oczka twoje, jasne oczy — dziecka.*

Roman Kreczmar.



WIKTOR GOMULICKI.

4)

## Walc nocnych mgieł.

...Gęsto wyroiły się niewiastki, jesienną pogodą znęcone. Jedne przystają przy wystawach sklepowych; inne kupują u kwaciarek astry jesienne; te dwie, przyjaciółki widocznie, za ręce się trzymając, rozprawiają bardzo głośno o zdrowiu swych mężów; ta sunie krokiem lunatyczki, wpatrzona, jak w tęczę, w dziecko swe, niesione przodem przez niańkę; tamta bieży, jak sarna, pilnie czemś zajęta, nie dokoła siebie nie widząc... Komedjantki! Myśl każdej zwrócona jest wyłącznie ku temu: czy na nią patrzą mężczyźni, i czy w którym żądzę zbudziła?..

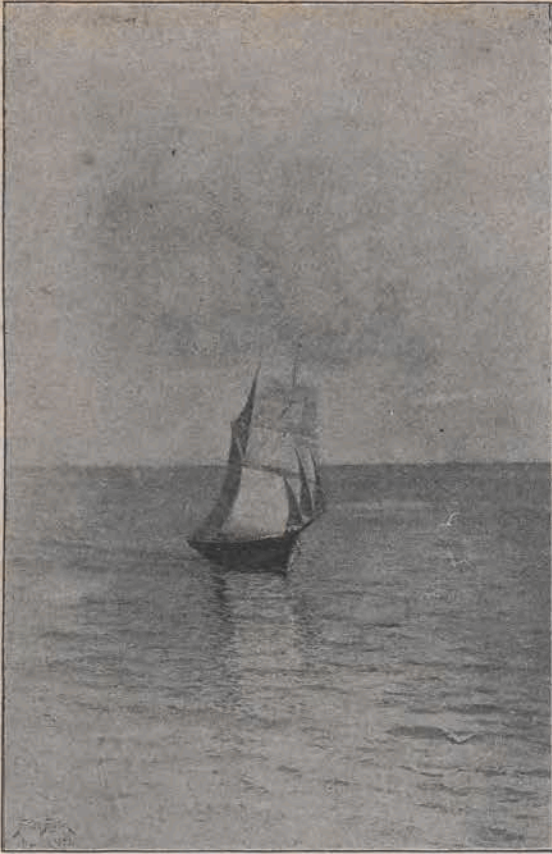
Przesmaczny żer dla ludzi, noszących kratkowane czapki z guzikiem na wierzchu.

Jutro odwiedzę morze — dziś, późną nocą, pójdę gdzieindziej. Czy tylko na pójście tam nie zbraknie mi odwagi? Czy nie zbraknie mi odwagi dziś na pójście *samemu*, gdy jej zbrakło niegdyś na pójście *we dwoje*?..

Miasto, po którym błędzę, dochowało dotąd, nakształt klejnotu rodzinnego, swój przastary mur obronny. Główne jego ulice, szerokie, sklepów błyszczących i kiosków z dziennikami pełne, wyglądają zgoda nowocześnie. Środkiem ich z szumem i jękiem przeciągłym prześlizgują się elektryczne tramwaje; elektryczność żarzy się w latarniach i we wnętrzu kawiarni; płomienie lamp żarowych jaskrawo i bezczelnie oświecając twarze i stroje (w stylu stulecia, które jest przede wszystkim: jaskrawe i bezczelne); najświeższe telegramy i najnowszy krój kapeluszy na każdym widnieją kroku... Ale miej chęć i cierpliwość dojść do krańca której z długich ulic — znajdziesz się nagle cofniętym o cztery, pięć wieków. Wyrośnie ci przed oczyma: mur zębaty, baszta potężna, ciemny tunel bramy miejskiej, w wyż i wszere rozrosłej, mnóstwem wieżyczek jeżącej się, ślepem oczami strzelnic groźnie w ciebie wpatrzanej.

Doznajesz wrażenia, jakby na wyfrakowanym, wygorsowanym, biało urękawiczonym balu, błysnęła ci niespodzianie, tuż przed oczyma: łapa olbrzymia, w miedzianą rękawicę i takiż naramiennik zakuta.

Nie to jeszcze. Gorzej, gdy się w wazki przesmyk bramy zapuścisz. Uderza



Antoni Austen. (Sal. art. Richlinga) NA PEŁNEM MORZU.

cię wówczas w twarz, zimnem, wilgotnem skrzydłem, wiatr od morza wiejący. I spostrzegasz jednostajnie czarną roztocz wody, milczącej, rozkołysanej, ponurej, którą tu i owdzie czerwonego światła odpryski tragicznie krwawią.

Jesteś tą niespodzianką zaskoczony. W głowie ci się mąci. Sprzeczność między tem, coś poza sobą zostawił, a tem co przed sobą masz, jest tak wielka, że cię odurza. Stajesz w miejscu, uczuwasz lęk — cofasz się.

Ileż razy bywało tak ze mną — to jest: z nami — w owych czasach odległych, gdyśmy, za ręce trzymając się, po różnych starych grodach późną nocą błądzili!

Czy to się i dziś powtórzy?

Nie powtórzyło się.

Pomimo, że noc była burzliwa, niebo pokryte chmurami, a gardziel średniowiecznej bramy ziała pustką i ciemnością wprost złowrogą, odważniem się w nią zanurzył. Popychały mnie dwie moce: wzrastające we mnie od pewnego czasu zamilowanie w rzeczach złowrogich, i myśl, że ona mniej odmie była lekliwa...

Pamiętam, znęciła nas jednego dnia pewna niezwykła, na przedmieściu ulica. Coś w niej było niepokojącego, dwuznacznego. Jedną stronę miała aż białą od słońca, drugą prawie czarną od cienia. Tą właśnie sprzecznością, z której ludzie symbol żałoby czynią, zaciekawiała, ciągnęła...

Wstępując na tę wązką, niezmiernie ciłą, ulicę, rzuciłem okiem na tabliczkę z jej nazwą. Nazywała się: *Todesgasse*. Odbiegła mię chęć nasycania się jej niezmierną cichością. Lubię ciszę, lecz nie tego rodzaju.

Ona jednak zagłębiła się bez wahania w głuchy, pasami światła i cienia przerznięty, zaułek. I nawet, znalazłszy otwór w czarnym wzdłuż zaułka biegnącym parkanie, długo się wpatrywała w rzeczy tajemnicze, poza nim ukryte. Potem wróciła do mnie bardzo blada, lecz zarazem dziwnie rozpodzona.

— Ach! gdybyś wiedział... gdybyś wiedział... — mówiła lekko zadyszana, z napięciem się we mnie wpatrując.

Oczy jej, zawsze głębokie, wydały mi się w tej chwili bezdennymi. Dłoń, którą ująłem w swoją, była zimna.

— Gdybyś wiedział jak tam pięknie!..

— Gdzie?

— Z tamtej strony parkanu.

— Cóż tam widziałas?

— Morze zieloności, chmurę kolorową kwiatów, szklane połyski białych, czarnych, szarawych, krwistych marmurów...

— Ogród?

— Tak, ogród. Nie, nie ogród.

— Cóż zatem?

— Cmentarz.

Są ludzie, na których wyraz „cmentarz“ wcale nie oddziaływa. Są to szczęśliwe, głupie, zdrowe dzieci. Jedne z nich liczą po lat kilka, inne po kilkadziesiąt. Poza niemi, ludzkość cała na dźwięk tego wyrazu — słabnie.

Nie wiercie marmurowemu spokojowi, lekceważącym, nawet szyderczym uśmiechom, z jakimi ci i owi o cmentarzu słuchają lub mówią. Najsilniejszym, myśl o śmierci, choćby tylko z odbicia przychoząca, ruch serca, na krócej lub dłużej zatrzymuje. Nie zawsze owłada nimi lęk, zawsze są jednak wzruszeni.

I w niej dobałem się wzruszenia. Ale było to wzruszenie osobliwe, z jakim nigdy się jeszcze doówczas nie spotykał.

Spotykałem się później — w innych wszakże warunkach i u innych zgoła ludzi.

We wzruszeniu tej pięknej, dwudziesto-pięcioletniej kobiety nie było dreszczu wewnętrznego, jakim daje znać o sobie zbudzony i w pogotowiu stający instynkt zachowawczy. Nie było strachu, i nie było zgoła uczucia przykrego. Raczej przeciwnie...

Takie oczy, takie chwilowe zatrzymanie tętna, takie zdziwienie rozkoszne miewa niewinna, a głęboko uczuciowa dziewczyna, gdy po raz pierwszy odsłoni się przed nią tajemnica miłości. Ale ona nie była dziewczyną. Więc to nie miłość tręciła ją końcami różanych palców; to brzeżkiem niezmiernego, niebios sięgającego, skrzydła dotknęła jej — nieskończoność. Pod tem dotknięciem, po raz drugi w życiu stała się oblubienicą, na przyjęcie oblubienica gotową.

Oblubieniec przyszedł i zabrał ją. A mnie po niej pozostało: męstwo wpatrywania się w przepaście niezgłębionych zagadek.

Zaraz za bramą rzucił się na mnie wiatr morski i zwojami romantycznego płaszcza owinał. W jednej chwili uczułem się dalekim i obcym wiekowi elektryczności, reklamy, bezdogmatyzmu i warjacji na zimno.

Wybrzeże było puste. Po drewnianym chodniku nie dudniła ani jedna stopa. Ciemno, krzyżujące się linje sztab żelaznych wskazywały drzwi i okna licznych kramnic, gdzie za dnia bywało tłumnie i gwarno. Powietrze przesycił zapach smoły. Wiatr poświstywał szyderczo i bezczelnie, jak w pustce. Tchnęło wszystko nie śmiercią, lecz — nieobecnością; nie smutkiem, lecz — tęsknotą.

Czarna woda kołysała się ocieźale. Z pośród chmur, prawie hebanowych, wyrzynało się chwilami ostrze przeraźliwie białego księżyca. Wyrzynało się na krótko, i znów w nawale czerności tonęło. Na draśniętych światłem falach, ukazywały się kadłuby okrętów oraz widma wysokich, po przeciwnej stronie, budynków. Wraz z księżycem i to się w mrok gąrzyło.

Szedłem wzdłuż wybrzeża, zapatrzony w ciemność, zasluchany w ciszę. Tęsknota mnie dławiała. Dawno już nie było mi tak ciężko, tak sieroco. Po com ja tu przybył? Jaki nakaz wewnętrzny zmusił mię do zamienienia wygodnej, zacisznej, posągami zaludnionej, pracowni na tę odludną samot-

ność, która ścisła serce, a myślami, jak liściem zeschniętym, miota?..

Tam, z narzędziami swego zawodu w ręce, mogłem być lepić lub wykuwać przeczuwane kształty dręczącej mnie zmy. Tu — z jakiegoż wątku snuć mam jej obraz?

Wiatr zniżył lot. Muskał teraz fale, rozkołysując je i gwarem napelniając. Ten gwar rósł z każdą chwilą — a mnie zdawało się, że ludzkie słyszę w nim głosy.

— Einsam wandl' ich an dem Strand,  
Wo die weissen Wellen brechen —  
Und ich hör' viel süßes Wort,  
Süßes Wort im Wasser sprechen...

Tęsknota mnie dławiała. Czułem się taki sam, taki sam... Gdybym miał pod ręką glinę, ulepiłbym figurę Sieroctwa. Albo symbol Ziewającej Rozpaczy. Jedno i drugie posłałbym swej żonie...

Głód serca dokuczał mi tak strasznie, żem krzycheć chciał.

— Ach! die Nacht ist gar zu lang,  
Und mein Herz kann nicht mehr schweigen...

Odruchowo kończąc zaczęta strofę, usta szeptały:

Schöne Nixen! kommt hervor,  
Tanz und singt den Zauberveigen!..

Tylko usta... Myśl udziału w tem nie brała — zbyt zasadzek szatańskich świadoma, aby pod złudami księżycowemi nie widzieć — błota.

Uczułem nagle wsuwającą się pod moje ramię rękę kobiecą. Anim przestraszył się, ani zadziwił. Nawet głowy nie odwróciłem, wiedząc i bez tego kto mi towarzyszy. A i to także tajne mi nie było: dlaczego ta ręka tak zimna...

Szliśmy długo w milczeniu, przenikając się wzajem myślami. Ona była dla mnie zupełnie przejrzysta, ja musiałem być dla niej nieprzenikliwy. Inaczej, czyżby potrzebowała zadawać mi pytania!

Szept jej był surowy, przytem szeleszczący, jakby z pustej czaszki wychodził

— Powiedz: czy ty mnie kochałeś?...

Odpowiedzią wyraźną było milczenie — ale ona go nie zrozumiała.

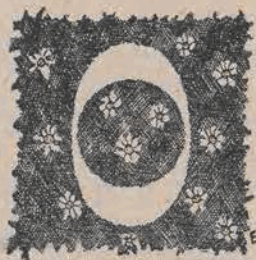
— Powiedz, powiedz... — mówiła nalegająco. — Ja nawet *tam* nie mam o to spokoju. Całowałeś ty mnie ustami tylko, czy też i sercem?..

Gdym nie przerywał milczenia, rozplynęła się w skargach.

## STARE LWY.

POWIEŚĆ.

4)



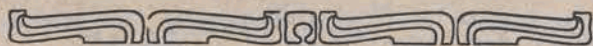
krutny mars zarysował mu czoło, gdy wzrok jego padł na rycerza nieznanego, który podejrzanym sposobem jakimś w tłum się wmieszał i—nieopowiedziawszy się nikomu—śmiało

— Ty nie wiesz... Dla kobiety niema większej zniewagi, jak być tylko pożądaną. Bo, widzisz, kobieta to także człowiek. To takie proste — a wy o tem nie paniętacie!

— Nie, to nie takie proste... — pomyślałem. — Większość moich braci-sameców nie o tem nie wie. Są tacy, co wiedzą, a przed sobą samymi niewiedomość udają, bo im z tem — lżej. Niechby kto spytał o to mego towarzysza podróży, wielu „domów“ przedstawiciela, zarostu „à la Franz Joseph“ hodowcę—jakżeby mu się trzęsła czapka z guzikiem od wybuchów Falstaffowego śmiechu!..

Tak myślałem — a myśl, choć słowami nie wyrażona, powinna była dojść do świadomości mojej towarzyszki. Doszła pewnie, i do przygarnięcia się bliższego skłoniła, bo łód jej dłoni przy samem sercu poczułem.

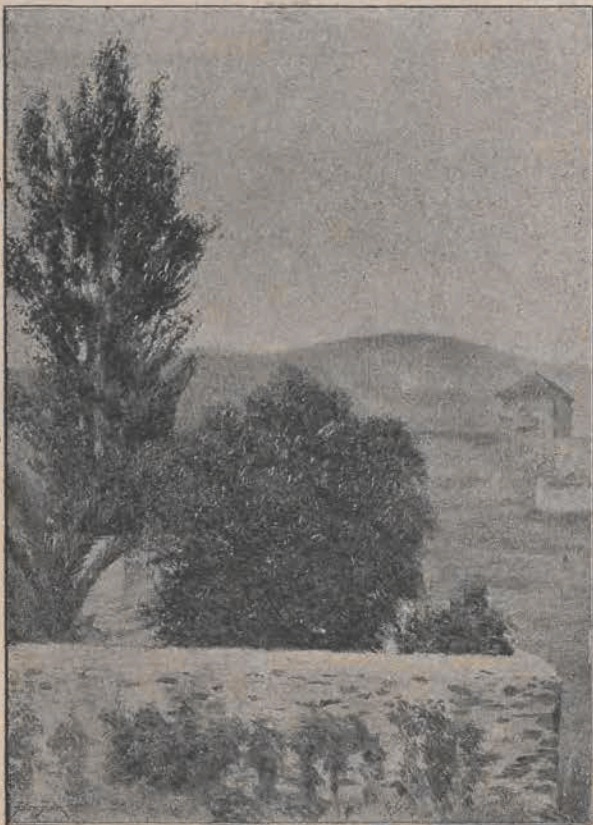
— A ty?.. a ty?.. — zaszeleścił znów szept suchy. (d. c. n.)



## AFORYZM.

My, Polacy, lubimy żyć cieniami kłamstwa i prawdy. Jest to nasz system filozoficzny, nasza mądrość narodowa.

*Józef Katerla.*



Antoni Austen.

Zakątek ogrodu w Katalonji.  
(Sal. art. Richlinga).

próg ten przestąpić i teraz stać tak spokojnie, a w boki się wziąć a patrzeć tak śmiało, lisiej czapki nawet z głowy nie usunawszy, w czem, co prawda, do całej zastosowywał się kompanji. Blask zielony zamigotał w oczach Kukułki, palce ścisnęły się w pięść potężną, a nozdrza rozděły się tak, jak u żrebca zgrzanego. Widząc to, cała kompanja z okrutnym nóg stukotem zwróciła się ku nieznanemu rycerzowi, który nie spuszczał oczu z oczu pana Bonawentury, a dostrzegłszy w nim chęć jakiegoś napadu dzikiego, wyjął prawicę z zapasa i — powoli, bardzo powoli — na rękojeści szabli położył.

— Ktoś ty? — wrzasnął Kukułka — —

— Opowiem się przed panem na Smoleniu — odparł z powagą rycerz.

Spokój, z jakim te słowa wymówił, wzrok śmiały, utkwiony w przekrwionych oczach groźnego Kukułki i to powolne położenie ręki na szabli — pohamowały napastnika. Może podziałało także i samo imię pana na Smoleniu, na które powołał się rycerz — dość, że kroku nie ruszył, ściśniętą pięść rozwinął, jeno, stojąc po środku izby, mierzył śmiałka oczyma czerwonymi.

Wtem w izbie przyległej dał się słyszeć stuk kuli.

Poruszyli się wnet wszyscy i do ścian się cofnęli, futrzane czapki z głów zdejmując. To samo i Kukułka zrobił, tylko rycerz obcy, dopiero wtedy, gdy w drzwiach się ukazała wspaniała postać Starego Wilka, znacząco ujął czapkę swoją i niski pokłon mu oddał.

Innego wcale wrażenia, niż się spodziewał, doznał rycerz na widok wchodzącego pana na Smoleniu. Nie—„starym wilkiem“, jeno—„lwem starym“ zwać go potrzeba było, takim był konterfektem żywym tego kró-

la pustyni. Czoło splaszczone miał i w tył usunięte, ponad którym jeżyła się bujna, płowa, gdzieniegdzie włosiem srebrnymi przesypana, iście lwia grzywa. Nad oczodołami, z których patrzyło jedno, lecz straszne oko, wystawały guzy potężne, podłużnymi przegrodzone zmarszczkami, co nadawało wyraz dzikości niezwykłej. Nos duży, płaski, jakby rozmiądzony przez uderzenie maczugi, z rozdętymi u dołu nozdrzami, miał coś przykro zwierzęcego w sobie. Od nosa do wargi górnej szła pionowo długa połać skóry, rzadkim a siwym obrośnięta włosiem. Warga dolna była ciągle w ruchu, od niej broda ku tyłowi się pochylała z takimiż kosmykami zarostu rzadkiego. Przepyszne rozrośnięcie ramion, wypukłość piersi przy bioder wąskości — dawały całokształt, który grozą przejmował patrzących. Uszy miał małe, płaskie i jakby przyrośnięte do tej głowy olbrzymiej, nawet drewniana kula u nogi, od której uderzeń o kamień posadzki szedł grom głuchy — była jakby dopełnieniem tej postaci niezwykłej.

Wszedł — spojrzął — zatrzymał się... i warknął — —

Tak!.. warknięciem zadrgał wyraz pierwszy wymówionego zdania.

— Kamrraci — witam was!..

— Żyj nam! zabrzmiała odpowiedź — —

Wzrok Starego Wilka padł na rycerza.

— Kto... ten? — zacharczał — —

Rycerz poruszył się, jakby się zbliżyć chciał —

— Nie wołam — warknął pan na Smoleniu.

Szkliste oczy zwróciły się na Kukulkę.

— Obcy — odpowiedział pan Bonawentura.

— Wiatr go przywiał? czarł przyniósł, że znalazł się wśród was... obcy?

Na te pytania nie było odpowiedzi, jeno wzdłuż izby poszedł pomruk głuchy i groźny tupot nóg.

— Cicho! — rzekł krótko pan na Smoleniu.

I cicho było, jak makiem siał —

A stary wilk tak dalej prawił:

— Niepewien żywota jest ten, kto wędle zamku tego przejeżdża na odległość rzutu strzały tatarskiej; niepewien żywota jest ten, kto bez opowiedzenia się u bramy strażniczej, śmie próg ten przestąpić, a przestąpiwszy, bez dreszczu a powiek zmrużenia w oczy mi patrzeć... Ktoś jest ty... panie obcy!.. i jaki bies tu cię przyniósł?

Rycerz pół kroku naprzód postąpił i nie spuszczać oczu przed groźnym spojrzeniem starego wilka, jeno lekko głowę ku ziemi pochyliwszy, rzekł głosem silnym:

— Nie — *przejeżdżając* wedle twojego zamku, lecz — *jadąc* do zamku, przestąpiłem bez opowiedzenia się próg tej izby; nie bies żaden mnie tu przyniósł, jeno pragnienie zemsty i żądanie pomocy od was, nie — „wilka starego“, jako zwać się każesz, lecz — „lwa niepokonanego“, jako ja ciebie zwę. A ktom jest, to krótka moja prezentacja będzie: jestem Pełko Jasieniec, ziemi pomorskiej syn, rycerz koronny, oznaczon bliznami w niejednym z niemcami boju, śmiertelnie ranion w pierś przez strzał amoroowy, śmiertelnie skrzywdzon przez Włodka wojewodę, pana na Ogrodzieńcu.

Stary wilk zadrżał — —

Znać było, że ono drżenie wywołało rzucone imię wojewody. Krwawym blaskiem błysnęło oko, zęby szczękły, jakiś wiech rozwiał grzywę włosów płowych, tak się zjeżyły, zafalowały a zabłysły ogniście w świetle płonących u ścian pochodni. Być może, że przez górne otwory w sklepieniu wiatr wleciał i skudłał bujną czuprynę starego wilka.

— W sam raz przybywasz, panie śmiały — ozwał się imię pan Nikodem Smoleński — a mojej pomocy żadasz. Zaśniedziałem już, beczynnim w tem gnieździe mojem siedząc a łupiąc jeno kupeców żydowskich, dla wyplacenia jurgieltu kamratom moim. Żadnej walki uczciwej ni z pany, ni ze szlachtą zwieść mi się nie udaje: załatem im sadła za skórę, że cicho, jak trusie siedzą i powodu do swarów mi nie dają. Nawet pan na Ogrodzieńcu, wróg mój odwieczny, osowiał i drogę mi nie zachodzi. Może zestarzał, a może woskiem zmiękł w objęciach żonki młodej.

Teraz rycerz zadrżał a błysnął oczyma, jakby grom w nich się zapalił... i padł, cichy tylko, lecz straszny i niezem nieugłaskany.

Dostrzegł to wilk stary i podniósł do góry łeb...

— A-ha!.. — krótkie ale znaczące z gardła mu wypadło.

Zbliżył się do Pełka i kładąc ciężką dłoń na jego ramieniu rzekł:

— O tem potem, w sam na sam, w sam na sam pogaworzemy. Teraz do uczty prosięć, kawalerze! do uczty z nami, bo wszystko jadło psy zjedzą a muchy wypiją miód.



Siadać!.. (do kompanów się zwrócił)—a wolno pasy i ozory popuścić, i do dziewczek mrugnąć—bym nie wzbronil... gdyby były!..—dodał z westchnieniem.

Gruby śmiech odpowiedział dowcipowi starego wilka—i—już na powtórne wezwania nie czekając, zwolnieni od wszelkich więzów krępujących, rzucili się wszyscy do ław, mis i sztucców—i wielkie rozpoczęło się żarcie.

Na miejscu poczesnem usiadł wilk stary a po obu stronach jego Jasieniec i Kukulka. Zaszczyt to nie mały był dla rycerza, bo nie każdy z przybyszów obcych, i to w takich warunkach poznany, mógł się pochwalić względami pana na Smoleniu. To też każdy z kompanów innemi teraz oczyma zaczął nań patrzeć i z pewną atencją się przybliżać, jeno pan Bonawentura nachmurzył się srodze, jako, że nie w smak mu poszło usadowienie się gościa po prawicy, na miejscu, dotąd przezeń tylko zajmowanem.

Piękną postawą, szlachetnym wyrazem twarzy i ruchami rycerskimi odróżniał się pan Pełko od kompanji całej, na co od razu uwagę zwrócił pan na Smoleniu i rad był tak grzecznego męża mieć przy sobie. Może przypomniały mu się jego własne lata młode, kiedy to w zaciejszem, niż dziś, otoczeniu przebywał a serce biło wiarą, nadzieją i miłością; może sam urok piękna i młodości nieprzemogoną potęgą swoją nań podziałał, dość, że raz wraz wzrok na rycerza obracał, z uśmiechem a słowem życzliwem doń przemawiał, sam mu puhary nalewał, a, gdy się już ku końcowi uczty miało, podniósł się i wznosił pełny za zdrowie Pełka.

Ogromny rumor się zrobił i darcie się gąb. To ten, to ów przyskakiwał do rycerza, obłapiał, słodkości prawil, ososione wasy w połę żupana ocierał i brał się zaraz do pyska. Mlaskały gęby od dawanych i odbieranych pocałunków, że aż dziwno panu Pełkowi się robiło, który jakości dotąd w podobnej kompanji nie bywał.

Nagle ciężar jakiś buchnął mu na plecy i coś go okraczyło, na barana wlażąc.

To karzeł, który w bęben walil, idąc przodem przed oną drużyną zbójceką, gdy wjeżdżała w dziedziniec zamkowy, zwałił się na grzbiet rycerza a osiodławszy go, ryknął na całe gardło:

— Jazda!..



Jan Matejko. (Sal. art. Richlinga) Otrucie królowej Bony.

Grzechot śmiechu wstrząsnął ścianami izby.

Wtem porwał się wilk stary i lunął w pysk niefortunnego błazna.

— Konfuzja! — wrzasnął potworek, jak kluska na ziemię padając. Ale znać przyzwyczajony był do tych bakalji, bo zerwał się wnet, kozła wywrócił i pierwszemu z bręga towarzyszowi na kark skoczył: jazda! jazda! wołając. Zabelkotał jeno teraz jak jędor, a to z racji spuchniętego okrutnie policzka, który zdefigurowany będąc a proporcję straciwszy, do tem większego śmiechu wszystkich pobudzał.

Jasieniec postępek ten pana Nikodema wziął za dowód pewnego szacunku i życzliwości dla siebie, zwrócił się tedy ku niemu i rzekł:

— Owo zrzucenie mi błazna z karku przez Waszmość pana dobrodzieja, uważam za przyjaźni dowód i niepospolitej z jego strony uprzejmości. Jeżeli tak jest, to prosiłbym o potwierdzenie mniemania mojego, wyświadczając mi łaskę pewną, z jaką wnet się zwrócę. Oto, ograbieni żydowie, bławtem i altembasem złożyli jurgielt, potrzebny waszmość panu na opłacenie załogi zamko-

wej. Jak jest, to jest—i do tej się już sprawy nie wtrącam — ale... suplikuję waszmość pana, kolana jego ściskając, by ich nie więził i na bezlitośne pośmiewisko nie oddawał, ale wolnością udarował, jako i tak już skrzywdzonych postradaniem majątności swojej. Jeżeli wysłuchan będę, to mile w pamięci mojej gościna na zamku smoleńskim się zapisze, jeżeli nie— to sam, krzywdy swej dochodzący, zapomnę na dziś o niej i dwór wasz zaraz opuszczę, a o pomoc w niedoli mojej gdzieś indziej uderzę...

To rzekłszy czekał odpowiedzi...

Była chwila milczenia —

Wtem pan Kukułka, któremu snadź ta przemowa litościwa nie spodobała się, zakukał drwiąco a za nim wnet w izbie całej kukanie się rozległo, aż imć pan Jasieniec spąsował i zagrał palcami po szablicy. Ale i staremu wilkowi ten rumor nie w smak poszedł podniósł się, brwi ściągnął i uderzając w stół pięścią, zagrział:

— Uwolnić żydy!..

Do Bonawentury zaś zwrócił się i rzekł:

— A ty nie kukaj przede mną!..

I znów się cicho zrobiło, jak makiem siał.

Pan Pełko pochylił się i z szacunkiem pocałował w ramię pana Nikodema, a skonfundowany Kukułka złemi oczyma spojrzał na rycerza.

Na dany znak przez pana domu, weszli muzykanci cygani i na cymbałkach grać zaczęli. Zrazu melodia była tak rzewna i takim smętkiem przetkana, że jeno łeb w rękaw schować i płaczem ryknąć. Zaczynał grać jeden instrument a drugi mu odpowiadał; na westchnienie odpowiadało westchnienie, na skargę skarga. Niby dwa sny, dwa marzenia spotkały się z sobą w wędrówce jakiejś zaświatowej i nuż tęsknoty swoje a żale naprzemian wyspiewywać, pocieszać się i dopełniać, uspakając się i rozumieć coraz więcej. Aż oto struny sperliły się... Jakiś wicher przebiegł po nich, jakiś grom uderzył. Zagrzmiały akordy i orkanem burzy gruchnęły.

Szał ogarnął grajków i słuchaczy —

— Czardasz! czardasz! — tu i tam się ozwało — —

Porwie się jeden, drugi, trzeci i dziesiąty i dalej obcasami rznąć o kamień podłogi, aż skry jasne sypnęły się, niby krzesiwo trzaskało o krzemień. Zakotłował czardasz a grzmot pobiegł po izbie.

(d. c. n.)

## Malarstwo i Scena.

### I.



**P**rawa malarstwa do sceny są stare, wypróbowane i pewne. Odkąd żywe słowo zapragnęło pomocy złudzenia plastycznego, prawa te rosły — olbrzymiały, aż dziś doszły do stanu przełomowego. Kwestja dekoracji, barwności rekwizy-

tów doprowadzanych do zenitu doskonałości, wyłoniła wreszcie poważne i dość niepokojące pytanie, czy „wielkie złudzenie“ kopując życie w sposób analityczny, drobiazgowy nie stanie się tylko błędem, pomimo wszystko; powtórzeniem życia? Sprawa bezwzględnej doskonałości wystawiania sztuk, piętrzy się stopniowo jak lawina — arcydzieła, których moc zakłęta jest w żywym słowie, wywołują dzisiaj oprawy niesłychanie wytwornej i drogiej — prawdziwość wszystkich rzeczywistych prawdziwości wzrasta stale, zachodzą wypadki, że zwykła scena niewystarcza — sztuki tłumne, o terenach rozległych, wystawia się w cyrkach... Jest-że to namiętnem poszukiwaniem wielkiego stylu, czy też głodem stworzenia „rzeczywistości“? Są niektóre dane, jakie pozwalają przypuścić, że to drugie stało się głównym motorem całego ruchu. Przy całym tym pozorowanym majestacie może się wydarzyć taka chwila, kiedy ta sztuka pełna rzeczywistości złączy się z hucznymi nurtami życia i — zagaśnie. Bezpośrednio prawdziwość powlecze wówczas całą prawdę Marzenia, niedającą się zwyciężyć mgłą nudy...

Ale siłom i wyrazowi głębokiego Marzenia nie sprostą nic. Setki tysięcy pieniędzy wyłożonych na najbardziej ludzającą, ekscentryczną i pełną przepychu wystawę — nie wystarczą na odtworzenie w całej swej mocy kilku sekund obrazu, jaki tworzy się w czującym i wzruszonym umyśle w czasie czytania pewnej sceny...

W tem zapewne tkwi przyczyna rozczarowań, tak licznych przy zetknięciu się z t. zw. wielkim repertuarem. A jednak droga do zwycięstwa wydawała by się tu dość prosta. Chcąc iść ze sztuką i utrzymać się na jej właściwych wyżynach, nie należy ani na chwilę zapominać o poecie — natomiast zapomnieć trzeba o świecie z którego przyszli widzowie...

Scena jest sztuką żywą—życie się w niej promieni, zmienia i porusza, ale w tych doskonałych, uproszczonych i harmonijnych skrótach, które zasadę każdej sztuki stanowią: jest więc światem odrębnym, w którym istnieje i rządzą prawa obejmujące li tylko obszar sceny — podobnie jak w malowanym przez artystę obrazie.

„Wielkie złudzenie“, które daje teatr,

nie powinno ludzi podobieństwem form życia, właściwego każdemu widzowi—przeciwnie, winno wszczepiać weń głębokie przeświadczenie konieczności życia takiego, jakie szeptem, przemawia albo grzmi ze sceny.

Skoro słuch nasz ujarzmi już potęgą słowa, czy tonów—dusza przepelnia się odpowiednimi wizjami; ażeby ich nie spłoszyć, oczy widzące muszą patrzeć na rzeczy szarmonizowane dokładnie z treścią tego, co usłyszą uszy i momentalnie przejęła dusza...

Barwy i kształty muszą wtenczas podążać za słowem czy tonami—równe im, zgodne i silne. Z pomocą winno przyjść wtenczas malarstwo.

Za jego to sprawą sztuka musi i może być podzielona na tonacje barwne—poprostu zinstrumentowana właściwie. Wtenczas pojawiają się owe tak bezwzględnie w harmonji teatralnej konieczne: owe *całości barwne*, owe jednolite, silne, pełne wdzięku obrazy, jakie wywołuje w czującej wyobraźni żywe słowo autora. Staje się wówczas scena zjawiskiem, opowieścią odosobnioną — bytem pięknym o własnym, indywidualnym życiu.

Pewne kolory oraz ich tonacje działają podobnie jak muzyka — to samo można powiedzieć o linjach i masie. Operując tymi czynnikami, można doprowadzić zbliżenie między widzem i pięknem danej sztuki do niebywałych granic.

Nie gra tu roli autentyczność saskiej

filiżanki, brukselskich koronek, kory odartej z prawdziwego pnia — ale potęga impresji, która wytryska ze spostrzeżenia ogólnego, odruchowego — czysto, a bezwiednie, *malarskiego*.

Gdyby o tem pamiętano, ileżby wspaniałych rzeczy na scenie nie ginęło bezpowrotnie! Teatr nie uwzględnia bowiem wcale, albo nader rzadko (i to więcej przypadkowo, niż z celem) potęgę *jednolitości tła*, *konieczności* dostosowania kostjumu do tonu tegoż tła—a przedewszystkiem i nadewszystko arcyważną i najzupełniej zlekceważoną *sprawę sylwety*.

Teatr dzisiejszy, mając w rękę wszechmoc nieledwie efektów świetlnych, za pomocą których można stworzyć niemal wszystko — poprzestał na seledynowym księżycu, jutrzence koloru *solferino* i mdłym zalewie światła zabijającym bez litości wszystko, co jest kształtem, sylwetą i formą...

I staje się to, że jedyną drogą do osiągnięcia *pełni* skupienia, bywa niekiedy tylko rozmyślne przymknięcie oczu.

Wtenczas wystarczy prastare, wyprobowanej powagi, słowo żywe — wystarczą tony muzyki. Obraz widziany jednocześnie brzdzi i myli drogi wiodące ku połączeniu się ze sztuką, z poetą — wreszcie z własnym, płochliwym, nieuchwytnym i nietrwałym Marzeniem.

(d. c. n.)

Antoni Gawiński.

## Prawdziwa demokracja.

Spółeczna myśl polska nie przyzwyczaiła się jeszcze szukać autorytetu dla swoich zamierzeń w łonie własnego kulturalnego życia, lecz stale powołuje się na powagi z zachodu lub wschodu. Gdyby to powoływanie się było tylko paralełą porównawczą, ustosunkowaniem naszych warunków egzystencji do życia narodów nas otaczających, niemożnaby mieć nic przeciw takiemu czujnemu liczeniu się z rzeczywistością. Niestety jednak, jest cokolwiek inaczej. Nie chodzi tu o porównawczość w celu doskonalszej orjentacji, lecz o zwykłe zastawienie się autorytetem, by tem łatwiej uniknąć odpowiedzialności przed wyrokiem życia. Skoro, przypuścimy, jakieś zamierzenie polityczne lub społeczne nie uda się inicjatorom, natychmiast złożyć się naszemu społeczeństwu, gdyż nikt ani chce się zastanowić, że w przeprowadze-

niu zamierzenia mogły przeszkodzić inne czynniki, niż „zła wola“ społeczeństwa, chociaż reforma była opatentowana tysiącem doświadczeń zagranicznych. Rozumuje się wtedy bardzo prosto. Takie a takie instytucje prosperują doskonale w krajach ościennych, a więc i u nas muszą zyskać sobie magiczne prawo obywatelstwa. Nikt nie pyta czy dana instytucja odpowiada naszym warunkom, nikt nie pyta czy możliwą jest realizacja w ramach takich, jakie zakreśliły jej stosunki na gruncie obcokrajowym. Odrazu przy pierwszym niepowodzeniu powiada się: społeczeństwo nasze nie jest warte i tem sankejonuje się społeczeństwa inne, by rozgrzeszyć siebie z... lekkomyślności z jaką przychodzimy do pracy społecznej.

W następstwie takie załatwianie się z własną nieudolnością przeradza się w gorycz. Gorycz ta zmieni się w negację, w bezsilne złorzeczenie, w sarkazm,

by w końcu stać się kulą u nogi społeczeństwa, gdyż przekleństwem dla narodów są... nieudolni malkontenci. W lewicy naszej dużo można spotkać takich „idealnie“ zawiedzionych typów, reformatorów księżycowych lub trubadurów marzących o rajach Mahometa. Malkontent społeczny posiada swoją rację bytu, jak i każda inna żyjąca jednostka. Pożytecznym jednak jest malkontent, który wie, czego chce, dokąd dąży, widzi sposoby urzeczywistnienia swoich planów, umie te plany w życie wprowadzać. W każdym bowiem wystąpieniu społecznym ważną jest pozytywność, rzeczowość i konkretność. I dlatego to nie wystarcza, że cytowany fakt jest opatentowany przez autorytet zagraniczny. Musimy posiadać w łonie własnego społeczeństwa sankeję dla nowych zamierzeń, musimy budować, lub niszczyć tylko w imię naszych godziwych potrzeb i naszych wymagań. Sądzę, że każde społeczeństwo

prawdziwie demokratyczne posiada ten organ samowiedzy. A wobec tego, że jesteśmy jeszcze daleko od istotnej demokratyzacji, nie dziw więc, iż nie mamy jeszcze wyrobionego w tym kierunku samopoczucia, iż uciekamy się pod opiekuńcze skrzydła autorytetów kolportowanych z zewnątrz. Należy jednak z tem skończyć, należy zdobyć dla ogółu tę samowiedzę.

Gdy niedawno wybuchła dyskusja ideowa, pewne stronnictwo miało argumentami z życia, dowodzącymi faktycznością racjonalizmu dla ich postawy programowej, uciekło się po błogosławieństwo do Jaures'a, skarżyło się na łamach, prasy zagranicznej na barbarę środowiska, w którym pracuje. Nie potrzeba dodawać, że w ten sposób postępują tylko ci, co nie mają nic do przytoczenia, nie do uzasadnienia. Gdyby w społeczeństwie posiadali pewne równoważniki, wystawiliby je, jako dowody racjonalności swojego istnienia. Nie uczynili tego, bo



LUDWIK KRZYWICKI.

nie stać ich nawet na wiarę, że mogą coś choćby fałszywie świecącego znaleźć.

Spółeczeństwo nasze, ogół naszych obywateli, tylko miarę samowiedzy powinien stosować do różnych enuncjacji, które od czasu do czasu zjawiają się na horyzoncie naszego życia polityczno-społecznego. Jako ogół, politycznie zaczęliśmy żyć niedawno. Wina w tem nie nasza, lecz jest również—wiele winy naszej.

Tak różne zmienne przechodziliśmy koleje przez ostatnie



JAN POPLAWSKI.

sto lat, że w niedawne lata „konstytucyjne“ dla wielu było niespodzianką nasze poczucie gromadzkoci, nasz instykt społeczny. Rozumie się, że działa się wszystko bez ładu, lecz trzeba pamiętać, iż rozpoczynaliśmy wtedy właściwie naszą gromadzką działalność. W Poznańskim i w Galicji dzięki odmiennym warunkom politycznym, społeczeństwo wyszkoliło w sobie samowiedzę zadań i celów; my w innych żyliśmy warunkach, inaczej więc ułożyły się u nas stosunki. Gdybyśmy mieli możliwość społecznie i politycznie pracować przed 20 laty, napewno znalazłyby się odpowiednie siły. Żyli przecież wtedy i borykali się w niedomówieniach, w cenzuralnych kleszczach J. Potocki, Popławski, Krzywicki, Hłasko, Krusiński.

Poczucie samowiedzy gromadzkiej jest dla nas obowiązującym warunkiem w naszej pracy przyszłościowej. Powstaje pytanie, jak tę samowiedzę stworzyć, jak wpływać na rozwój uświadczenia, by przyniosło dla ogółu pożądane plody? Odpowiedź na to nie jest tak prostą, jakby się wydawać mogło. Społeczeństwo każde składa się z kilku klas, z kilku stanów, które tworzą ogół obywatelski. Każdy stan posiada swoje własne interesy, nie może się więc obejść bez konfliktów w łonie społeczeństwa. Pewne grupy polityków wobec tego wysuwają na plan pierwszy interes klasowy, chcą jakiejś specjalnej klasie podporządkować całe społeczeństwo. Stanowisko to jest jednak fałszywe.

Bez wątpienia, że w społeczeń-

stwach istnieje walka, konkurencja, współzawodnictwo stanów i jednostek. Nie należy jednak zapominać, że istnieje również współdziałanie, jedność społecznych celów. Kto chce racjonalnie widzieć życie społeczeństw, musi uwzględnić te obydwa czynniki. I wtedy nie będzie podporządkowywał interesów społeczeństwa interesom klasy, lecz odwrotnie społeczeństwo, jako całość, stanie się założeniem jego rozmyślań.

Aby więc wychowywać mózg obywateli pożytecznie, należy na tę ewentualność położyć silny nacisk. Walka stanowa wytwarza się samorzutnie, walka powstaje, bo bez walki niema życia. Trzeba przeto i na drugą stronę medalu otworzyć walczącym oczy a otrzymamy wtedy rezultat pożądany. Hasłem stanie się harmonja klas, harmonja stanów. Zrozumie arystokrata, że nie jest wyłącznym obywatelem, zrozumie mieszczaństwo, że nie tylko ono posiada przywilej stanowienia o życiu, zrozumie robotnik i chłop, że społeczeństwo składa się nie tylko z stanu czwartego. Prawdziwa bowiem demokracja polega na harmonijnym współżyciu wszystkich stanów. Samowiedza zaś tej harmonji współżycia prowadzi do zrozumienia istoty gromadzkiego dobra. A społeczeństwem przecież o to tylko chodzi!

Gdy powstanie ta świadomość, nie będziemy szukali z zewnątrz sankcji dla naszych czynów. Wewnątrz istniejące przeświadczenie odpowie, pobłogosławi naszym zamierzeniom, naszej dobrej pracy.



## T E A T R.

Miłośnikom sztuki aktorskiej zgotowano w tym tygodniu wielką niespodziankę—dyrekcja teatrów rządowych zaprosiła na gościnne występy panią Wysocką. Wysocka, jako aktorka, ma sławę ustaloną. Poczytują jej talent za jedyny w swoim rodzaju. Daje bowiem ona w swojej twórczości tylko posagi, kowane z najczystszej marmuru tragizmu. Role tkliwe, miękkie



Teatr „domu ludowego“.

„WANDA“.

w swojej psychologicznej koncepcji, nie odpowiadają charakterowi jej mocnego, wyrazistego gościa.

W „Lilli Wenedzie“ kreowała pani Wysocka rolę Gwinony. Jestto jedna z ról, którą niezupełnie chętnie grywa. Tym niemniej jednak jej mściwość, złość, nienawiść opanowywała audytorjum. Sceny z królem Derwidem wykonywała z takim mistrzostwem, iż zaryją się na długo w pamięci słuchacza. Pani Wysocka oprócz Gwinony grała również Marynę w „Zaczarowanym kole“, występuje też w „Elektrze“ von Hofmannsthal, i w „Sędziach“ Wyspiańskiego.

Należy również przywitać oklaskiem zjawienie się na scenie pani Przybyłko-Potockiej. Zeszły z afisza „Straceńcy“ wskutek choroby p. Potockiej, która gra w nich rolę główną, a więc trzeba zobaczyć... „Straceńców“ dla gry pani Potockiej, lub też — jak kto chce — sztukę Konczyńskiego z panią Potocką w roli nieszczęśliwej... kochanki. Pamiętamy „Hanke“ Potockiej z „Godów Życia“ Przybyszewskiego, scena trzeciego aktu wyciąga wciąż do nas swoje rozpaczne, smutne ramiona. Szkoda, że p. Przybyłko tak rzadko ukazuje się teraz na scenie teatru Rozmaitości. Jest ona przecież jedną z najciekawszych, a może wprost jedyną interpre-

tatorką dusz kobiecych współczesnych.

Teatr p. Zalewskiego wystawił krotkochwile Fridericha. „Gdzie Cohnowie?“ Wartości literackiej ta trzyaktowa satyra na żydów, nie posiada. Ma natomiast w sobie specyficzny humor, który może ubawić, uśmieszyć widza. Z aktorów wyróżniła się p. Strzelbicka i p. Kamińska. Pan Jarecz, jak zwykle, wybornie grał na ten raz jowialnego żydowskiego dowiecpania Maurycego Cohna. Charakterystyka i ruchy zestrzajały się w całość zajmującą a śmieszna.

Zapewne mało kto zwraca uwagę, że mamy w Warszawie oprócz teatrów „urzędowych“ jeszcze jeden mały, schludny, miły teatrzyk, który wytrwale szerzy oświatę, wnosząc pod dach biednego nawet rzemieślnika wrażenia estetyczne i podniosłe.

Dom ludowy, założony przez patrona chrześcijańskiej-demokracji, ks. Godlewskiego, wziął sobie właśnie za zadanie wnosić w masy robotnicze, oprócz dobrobytu, ekonomicznego jeszcze poczucie zapotrzebowań, artystycznych. Trzeba dodać, że wypełnia to swoje zadanie z dużą umiejętnością.

Byliśmy na przedstawieniu „Wandy“ Wężyka. Dla szerokiego mas jest to sztuka jakgdyby wymarzona. Słuchano też

w skupieniu, bito zapamiętane „bravo“. Teatr był pełny. Przyjemnie jest widzieć rozpromienione twarze robotnicze w sali teatralnej; za tę... przyjemność należy dziękować działalności „domu ludowego“. Możliwym jest przecież, że bez inicytywy „domu ludowego“ te masy robotnicze spędziłyby święta gdzieindziej, możliwe, że „pogotowie ratunkowe“ byłoby w te dni częściej wzywane...

Dramat Wężyka zilustrował odpowiednią muzyką, znany kompozytor p. Elertowicz, co również za zasługę należy mu pochylić.

W teatrze pani Łaskiej dają stale „Niebieską myszkę“. Publiczność spełnia teatr, bo dla p. Łaskiej warto zobaczyć nawet teatralną... myszkę. E. C



STANISŁAWA WYSOCKA.

## Z MUZYKI.

Czy Warszawa jest muzykalnym miastem?

Odpowiedź na to niezbyt łatwa. Jeden koncert, na którym roi się od tłumów, rozchmurzy narazie nawet najbardziej zdecydowanego sceptyka, inny — nawet optymiście nasuwa niezbyt wesołe refleksje.

Na koncertach popularnych widzimy sporo publiczności. Czy dlatego że słuchacze pragną muzyki przystępniejszej, nie posiadając na ogół odpowiedniego pogłębienia artystycznego, niezbędnego dla zrozumienia muzyki symfonicznej?

Nie, przyczyna złego leży w czym innym. Nie braku poczucia muzycznego doszukujemy się, nie lekceważenia tych świąt obcowania ducha z dziedziną sztuki. Zejdźmy do prozy... materialne warunki nie pozwalają na ten zbytek, a właściwie na tę konieczność bytu naszego, jaką jest każda przecież uczta artystyczna.

Koncert popularny, tani, odsłania rąbek owej „tajemnicy“. Ten sam tłum, nawet czasami trochę szary, podążyłby i na każdy inny koncert, na każdą inną sjęstę duchową.

Sztuka nie jest widać dla mauluczkich... Tę sztukę wielką, piękną, brudne ręce zjadaczy chleba silnie starają się łączyć z ciężką bryłą kapitału. Kapitał dopiero pozwala na korzystanie z tych wszystkich czarów, jakie hojną dłonią rozdawałaby ta cudna kapłanka.

Jesteśmy muzycy, lecz, niestety, jesteśmy... za biedni.

Wyraźnym dowodem naszych aspiracji duchowych, jest choćby nawet założenie w Warszawie nowej uczelni muzycznej, potrzeba bowiem stworzyła tę pożądaną placówkę, a grono profesorów z inicjatorem prof. Lucjanem Marczewskim na czele,



WANDA LANDOWSKA.

podjęło odpowiedzialną pracę, w której powodzenie trzeba wierzyć, gdy obok dyrektora widzimy również takie siły, jak profesorów: Melcera, Szustra, Kochańskiego, Opieńskiego, Chojeckiego, Birnbauma, Szlezycierównę, Wertheima i innych.

Thumnie było na koncercie p. Wandy Landowskiej, wykonawczyńi starych utworów klasycznych.

Zaznaczyć przedewszystkiem należy, że Landowska jest u nas jedyną wirtuozką, która z takim zamiłowaniem, odczuciem i zrozumieniem odtwarza daną epokę. Koncert Mozarta d-moll wykonany został stylowo na fortepianie z towarzyszeniem orkiestry, utwory zaś Bacha, odegra-



IRENA LORWINÓWNA.

ne na clavecinie, przenosiły nas do odleglejszych czasów, gdy dzisiejszy fortepian o tonach dźwięcznych i pełnych, zastępował ongi instrument... brzęczący i niedoskonały. Wielką jednak zasługą znakomitej naszej wirtuozki jest, że nie goniąc za efektem, pragnie przedewszystkiem jaknajwierniej odtworzyć muzykę ówczesną, na ówczesnym instrumencie, co też z prawdziwym mistrzostwem czyni. Za huczne i zasłużone oklaski i kwiaty nie poskąpiła ta jedyna w swoim rodzaju artystka — upragnionych naddatków.

Orkiestra pod batutą dzielnego swego dyrygenta p. Birnbauma, świeciła jak zwykle — tryumfy.

♯ Inny już nastrój panuje na koncertach dobroczynnych. Tam



MARGOT-KAFTALÓWNA.

mniej się spotyka prawdziwych miłośników muzyki, — dąży natomiast każdy by przysporzyć grosza na cel określony.

Organizatorowie koncertu na szkołę ziemi Mazowieckiej w sali Resursy Obywatelskiej, nie chyba nie mają sobie do wyrzucenia; nietylko sympatycznym celem, lecz i zespołem występujących artystów zdołali zainteresować nasze towarzyskie sfery. Toteż zapełniły się sale Resursy.

Słuchano z przejęciem i z wdzięcznością oklaskiwano i darzono kwiatami artystów — a więc Barcewicz (skrzypce), Chluski (fortepian), Jędrzejakowa (śpiew), Lorwinówna (deklamacja), Łuszczewski (śpiew), Hamanówna (śpiew), Margot - Kaftalówna (śpiew) i Dygas (śpiew) prawdziwie zasłużone zbierali laury.

Jaknajwięcej takich koncertów, które dobry cel łączą z artystyczną uczcią dla zebranych thumnie słuchaczy. Z.



## Salon Richlinga.

W miarę jak rozwija i rozszerza się miasto, musi zwiększać się również ilość ognisk sztuki i przybyszą teatry i sale koncertowe — słuszną jest rzeczą, aby poza obszernym, imponującym gmachem Tow. Zachęty Sztuk Pięknych — powstawały salony prywatne, znacznie mniejsze, mające pomieścić zawsze wzrastającą produkcję artystycznego naszego dorobku. Instytucje tego rodzaju nie powinny bynajmniej zajmować i nie zajmują stanowiska konkurencyj-

nego czy też dominującego wobec powagi metropolji — czyli Tow. Zachęty — przeciwnie, są jej niejako, przez swe pobłażliwsze kryterjum i ryzykowne nieraz wzloty czy przypadkowe odkrycia — niejako pomocne. Takim



ADOLF CZERWIŃSKI.

przynajmniej powinno być ich zadanie, we własnym interesie leżące.

Takim był niezapomniany nigdy Salon Krywulła, który przez szereg lat łączył Warszawę z Europą na podobieństwo stacji telegraficznej. Obrawszy sobie za specjalność echa najnowszych wydarzeń w świecie sztuki obcej — a także popieranie talentów bardzo oryginalnych i młodych, salon ten wiele dobrego wyrządził i sztuce naszej i kulturalnemu ogółowi. Te, które powstały potem, lub jednocześnie, miały charakter inny — w większości poświęcały się li tylko sztuce polskiej, przez co nie stanowiły dla publiczności tego osobliwego i nie dającego się zaspokoić gdzieś indziej zajęcia — co Salon Krywulła.

Obecnie powstał w Warszawie nowy Salon prywatny, p. Feliksa Richlinga: lokal niewielki, ale urządzone starannie, zawieszono w części obrazami różnych malarzy, zebranymi dowolnie — w części zaś poświęcono mistrzom specjalnym. Pierwszą, była nader interesująca ekspozycja szkiców Matejki — drugą z kolei jest obecna wystawa zbiorowa obrazów i studjów Antoniego Austena — artysty, którego prac nie widzieliśmy już dość dawno. Talent to szczerzy i oddany całą duszą przyrodzie którą z zamiłowaniem odtwarza. W owym szeregu obrazów, wystawionych u Richlinga, widać pietyzm dla natury,

analistyczne, sumienne badanie nastrojów najrozmaitszych pór i chwil jednego dnia — miłość słońca i najszczerzej prawdy.

Wystawa jest bardzo miła — a nowy Salon czyni wrażenie zaciszne i bardzo sympatyczne. Należy życzyć p. Richlingowi, aby salonowi swemu nadał charakter skupiony i jednolity — aby zgromadzał w nim takie dzieła, których gdzieś indziej widzieć nie można.

A. G.

## Nowi dygnitarze.

Dotychczasowy wicemarszałek Galicji, metropolita Szeptycki, ustąpił przed paru dniami z powyższego stanowiska. Na jego miejsce powołanym został ks. biskup Czechowicz. Ustąpienie ks. metropolity Szeptyckiego było dla ogółu niespodzianką. Według twierdzenia jednych, ustąpił wskutek nadwątlonego zdrowia, drudzy znów utrzymują, że ks. metropolita Szeptycki ustąpił z odpowiedzialnego stanowiska, przeczuwając przy nadchodzącym otwarciu sejmu burzliwie-rzekomą secesję Rusinów.

I jeszcze jedna nominacja.

Z poklaskiem sympatji powitano Adolfa Czerwińskiego, na stanowisku prezydenta wyższego sądu krajowego we Lwowie. Jest to znana postać, ciesząca



Ks. Biskup CZECHOWICZ.

się rzadkim mirem i poważaniem. Wybór nowego prezydenta spotkał się we wszystkich kołach inteligencji z żywym zadowoleniem.

## Jasełka\*).

Lemański wydał nową książkę. Dla życia naszego duchowego powinno to być znów świętem. Pozostaną bowiem w skar-



JAN LEMAŃSKI.

bnicy naszej kultury te jego smutne, bolesne ironje, te zwiewne, haczykowane drwiny. Współcześnie Lemański jest jednym z najgłośniejszych protestów przeciw szarzyźnie, bezdusznosci naszego mieszczańskiego życia. Dzięki jego „Nowennie“ zrozumiano ile ohydy mieści w sobie duszyczka przeciętnego polskiego filistra!

Jasełka to dalszy ciąg oskarżeń Lemańskiego. Oskarża przyciem Lemański wszystkie stany, wszystkie kondycje socjalne. Wszędzie doszuka się martwizny, egoizmu, obojętności, sobkostwa i pychy. Z dziwnej bowiem mieszaniny, podług Lemańskiego, składa się psychologia współczesnego polaka. Głośne słowa, głośne enuncjacje, a w gruncie rzeczy martwota, trupiość wyziera z całokształtu... czynów i zamierzeń. Lemański nie oszczędza nikogo. Nawet braci poetyckiej poszła w upominku zgrzyt swojego lekceważenia. Powieściopisarzy traktuje też z złośliwym niezadowoleniem, bo Lemański pisze dla tych „kto nie jest, jak laleczka, kto się nie pieści zbyt — kto śmiało patrzy w byt“.

Czy jednak wielu posiadamy takich, co śmiało patrzy w byt? Miast odpowiedzi, Lemański rozszlocha się smutkiem, przytłumi

\*) Jan Lemański. Jasełka str. 191. Warszawa 1911. Nakład S. Orgebrand.

wszystkie akordy swojej pieśni. Nabrzmi mu ton takim bólem, że zwiewność, igraszki jego piosenek nabiorą zupełnie innych kształtów, niżby to można przypuszczać, gdy się zna Lemańskiego tylko powierzchownie.

Autor „Jasełek“, przy dokładnym i sumiennym wejrzeniu w głąb jego twórczości, posiada zupełnie inne oblicze. I co najważniejsze, te jego igraszki nie są dowolnością, kaprysem niesystematyzowanej wyobraźni. Lemański karnie wyszkolił swój pogląd na świat, swój stosunek do życia. Czujność świadomości ludzkiej kładzie tu na wszystko swoje żywe, powagą nabrzmiacie piętno.

Okładkę książki ozdobił symbolicznym rysunkiem—Wyczółkowski. Siedzi Stańczyk ze zwieszoną głową, a wokół niego drewniane figurynki, woskowe lalki. Już ten rysunek wskazuje, jak należy rozumieć te Jasełka Lemańskiego, jakim odpowiadać echem, gdy która z laleczek zbyt dwuznacznie rozpocznie o sobie mówić.

Książka Lemańskiego jest podarunkiem dla wszystkich sta-

## Cichy jubileusz.

Cicho, bez większego rozgłosu, obchodził onegdaj jubileusz 25-letniej dziennikarskiej pracy p. A. Krajewski. Jako współredaktor „Dziennika polskiego“ od 1887 r. zasiliał swemi pracami powyższy organ we Lwowie. Odegdaj, zgromadzone koło jego wielbicieli, jako też i członków redakcji, wraz z redaktorem naczelnym, złożyło hołd niestrudzonemu w pracy jubilatowi.



A. KRAJEWSKI.



Czy nieletni szach perski doczeka pełnoletności na tronie?

nów społecznych, bo o wszystkich kondycjach traktuje. Kto ciekaw coś dowiedzieć się o sobie, niech przeczyta pod odpowiednią rubryką epigramat, a do wie się, z czego powinien być, jaknajwięcej... dumny. E. C.



## Przegląd polityczny.

W Poznańskim szykują się do wyborów na dobre. W trzech okręgach wystawiono nawet kandydatury socjalistyczne, a zewsząd dają się słyszeć głosy niezadowolenia z powodu polityki byłego koła polskiego. Naogół jednak wystawiono kandydatów umiarkowanych. Walka o mandaty toczyć się będzie pomiędzy trzema komitetami. Wchodzi w grę kandydaci centrowców (niemcy), narodowców i socjalnej-demokracji (polaacy i niemcy). Ciekawą będzie walka w okręgu katowicko-zaborskim, gdyż wiele działał tam dobrego polscy socjaliści, z którymi dotychczas konkurował Korfanty. Korfanty, jak wiadomo, zrzekł się obecnie mandatu. Narodowcy jednak wyteżają wszystkie siły, by nie oddać tej placówki kandydatowi „Gazety Katowickiej“. Jeżeli mandatarz robotniczy przejdzie, będzie on pierwszym posłem socjalistów polskich z zaboru pruskiego.

W prasie zagranicznej wywołały ogromną sensację zwierzenia lorda Lansdola z powodu... pokojowości zamiarów Wilhelma II-go. Wszystkie pisma nie

szczędzą docinków łatwomiernemu lordowi. Co ciekawsze, że nawet prasa niemiecka (Post. Nord. Pkg. Zeitung) uważa „czciwego anglika za... żartownisia. Oburza się i organ giełdy „Boersen Zeitung“.

I jakgdyby na potwierdzenie „odkryć“ Lansdola, zjawił się nowy komunikat rządu niemieckiego, stosujący nawet do swoich współrodaków znane prawo „ausrotten“. Chodzi o kolonistów niemieckich, którzy osiedli w Rosji lub Polsce, a teraz chcą powrócić do „faterlandu“. Rząd chce mieć swoje placówki w obcym kraju, uważa więc przesiedlanie się do Niemiec z powrotem, za zdradę „pokojowych“ zamiarów Wilhelma i jego polityków.

Pan Mienszykow też nie ustaje w swoich „pokojowych“ przywidzeniach, projektach, „zabozach“. Od jakiegoś czasu stale nawołuje do zbrojeń, zachęca do wojny z Austrią, rysuje już nową mapę Europy.

W Galicji stosunki rusińskie coraz bardziej się psują. Od roku nieczynny sejm rozpoczął na nowo swoją pracę, lecz rusini grożą obstrukcjami. Prawo wyborcze uważają za niedostateczne dla siebie, a więc żądają kilku krzesel więcej w sali obrad sejmowych. Sądzymy, że należałoby zadośćuczynić ich żądaniom, gdyż prowadzenie szowinistycznej polityki na krzesach naszych, niezawsze może przynieść skutki pożądane. Wogóle szowinizm trzeba wykreślić z listy naszych, programowo-politycznych działań. God-



ności naszej i naszej kultury, no i... ziemi, można bronić nie tylko przez jednostronne akcentowanie różnicy szczepowej. Bronić się musimy, lecz bronić rozumnie. Niezbędne są inne wskaźniki działania, nie te, którymi dotychczas posługują się w Galicji. Trzeba niezapominać bowiem, że Guczkw już zrzucił maskę „październikowości”. Podali sobie ręce pan Bobriński, Bałaszew i Guczkw. Wszystkie te fakty każą dużo myśleć i niezapominać, że musimy, aż na trzy fronty ezuwać.

W Persji ciągle panują „rozruchy”. Ludność nie chce pogodzić się z dotychczasowym stanem rzeczy, wytacza armaty, napada na wojska rosyjskie. Konsekwencje z tego wypływają takie, że rosjanie urządzają w Persji sądy wojenne. Z wyroków sądu polowego stracono już 15 osób...

Kolej wiedeńska staje się własnością rządu. Przyszłym dyrektorem ma być p. Pauker, który, podobno, swoją karierę zawdzięcza koligacji z ministrem Ruchłowem oraz sympatjom ze strony nacjonalistów. A no —



Kapitan Lux (w pelerynie) powraca z audjencji u ministra wojny.

przekonamy się teraz o sprawności kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Adagiz okazał się małostrawną pigułką dla rządu francuskiego. Obrady komisji senatu rzuciły dwuznaczne światło na ministra spraw zagranicznych de Selvesa, co pociągnęło w konsekwencji dymisję całego gabinetu. Z początku p. Caillaux

chciał ratować swój gabinet przez nominację Delcasségo na ministra spraw zagranicznych, lecz kombinacja ta zawiodła. Ostatnie telegramy donoszą, że prawdopodobnie Emil Combes otrzyma misję utworzenia nowego gabinetu.



Strzaskany aeroplan.

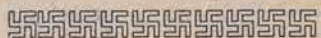
Porucznik Lantheaume,  
ofiara katastrofy.

## Śmierć awiatora.

Dzielni lotnicy nie ustają w swych usiłowaniach osiągania coraz to dalszych zdobyczy. Setki ofiar pochłonęło już lotnictwo i setki jeszcze pochłonie.

Ostatnio wstrząsnął grozą wypadek, któremu uległ porucznik piechoty francuskiej Lantheaume. Nieszczęśliwy — udał się aeroplanem, żeby odwiedzić rodzinę, zamieszkałą o kilkadziesiąt kilometrów.

U celu już, w oczach żony i dzieci, silniejszy prąd powietrza przewrócił aparat, porucznik zaś upadł z wysokości kilkudziesięciu metrów, zabijając się na miejscu.



## Kapitan Lux.

Wielką wrzawę wywołało w Paryżu zjawienie się kapitana Luxa. Był on osadzony w twierdzy Glatz za szpiegostwo. Opinia niemiecka z ucieczki tej nie była zadowolona. Francuzi fakt ten przetopili natychmiast na środek agitacyjno-manifestacyjny, a nawet najbardziej ozięble pisma powitały Luxa, jako bohatera. Lux z urodzenia jest alzateczykiem, co znów jest jednym z powodów, by nazwisko jego wykorzystać do walki przeciw hakacie.

O samej ucieczce powypisywano stek najfantastyczniejszych opowieści. Czytając, ma się wrażenie, że Lux jest conajmniej czarnoksiężnikiem Bosko lub nowożytnym Pinettim. Paryski „Matin“ nawet pomylił się w geografii i kazał Luxowi odbywać marszrutę przez Czechy, wsadził go w pociąg kursujący pomiędzy Wiedniem a Medjolanem.

Kapitan Lux był w swoim czasie kierownikiem francuskiego biura informacyjnego. Sąd niemiecki skazał go na 15 lat ciężkiego więzienia. Francuzi jednak nie tracą nigdy pogody ducha, a więc i Lux czekał tylko sposobności, by wyrwać się z objęć pruskiej sprawiedliwości.

Minister wojny przyjął Luxa na specjalnym posłuchaniu, zabronił jednak brania udziału w manifestacjach. Rozkaz ten wzbudził niezadowolenie w prasie, która kreowała Luxa na bohatera dnia. Nasza rycina przedstawia kapitana, powracającego z wizyty od ministra wojny.

## Jeszcze szpiegostwo.

Od pewnego czasu na terenie Galicji, rozsiadło się mnóstwo szpiegowskich gniazd, z których



Teodorowicz. Dodonow.  
(Afera szpiegowska).



Profanacja zwłok w grobowcu Karadzordzewiczów.

ptaszki wpadają coraz częściej w zręcznie zastawione sidła miejscowej policji. Zdawało się że po niedawnych aresztowaniach kilkunastu członków organizacji, przynajmniej jakiś czas będzie spokój. Gdy w tych dniach znów dwóch nowych niebezpiecznych szpiegów aresztowano. Przeprowadzenie śledztwa trzymane jest w ścisłej tajemnicy.

## Profanacja zwłok w grobowcu Karadzordzewiczów.

Niezwykłego rozgłosu nabrała sprawa profanacji zwłok księcia Aleksandra Karadzordzewicza, złożonych w grobowcu królewskim w Wiedniu.

Niewykryci złościny w nocy w pierwsze święto Bożego Narodzenia wtargnęli do grobowca; łomami żelaznymi odbili następnie wieko zewnętrznej trumny i stłukli szklane wieko — wewnętrzną. Późem, odłączwszy głowę od tułowia, porzucili ją w pobliskich krzakach.

Rabunek nie był celem profanacji. Ordery i inne kosztowności przy nieboszczyku, pozostały nietknięte. Była to zemsta polityczna zwolenników linii po-

przednio panujących w Serbji Obrenowiczów, których ostatni potomek, król Aleksander i jego małżonka Draga, zamordowani zostali przez sprzymierzeńców obecnie panującej dynastji Karadzordzewiczów.

Zemsta conajmniej dzika.

## Sprzeniewierzenie w konsulacie austriacko-węgierskim.

Oto ciekawa sylweta: Włodzimierz Krynicki, sekretarz konsulatu Austriacko-Węgierskiego w Warszawie, powszechnie był lubiany i pożądaný w kołach to-



Włodzimierz Krynicki.  
(Defraudacja w konsulacie).

warzyskich... gdy naraz rozcho-  
dzi się wieść o wielkiem sprze-  
niewierzeniu w konsulacie, któ-  
rego dokonał właśnie ów...  
sympatyczny i obiecujący mło-  
dzień. Krynicki zdołał umknąć  
do Wiednia, tam wszakże ujęto  
go. Salon zamieniła ciasna cela  
więzienna. Zdarza się to cza-  
sami...



## Odpowiedzi Redakcji.

P. D. Pol... „Welträtsel“ Ernesta  
Haecla, oraz prace Nusbauma. „Z  
teki biologa“, „Z zagadnień biolo-  
gji i fizjologii przyrody“.

P. R. Morcin. Nie nadaje się do  
druku. Do zwrotu.

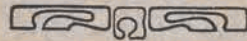
Pp. Nauczycielom. Ustępujemy Pp.  
Nauczycielom 10% od zasadniczej  
sumy prenumeraty rb. 4. (Dodawszy  
przesyłkę kp. 60 otrzymujemy su-  
mę rb. 4 kp. 20 rocznie).

Pytającym. № 2-gi datowany był  
tylko dn. 1-ym stycznia, należał  
wszakże do ostatniego tygodnia

1911 r. W 1912 roku wydamy 52  
numery, co z poprzednio wydany-  
mi dwoma — uczyni 54 numery, od  
№ 1-go do № 54-go włącznie.

P. W. Sosn. Parodniowe opóźnienie  
w ekspedycji nastąpiło wskutek  
formalności pocztowych, które każ-  
de bardziej rozpowszechnione no-  
we wydawnictwo musi przeprowa-  
dzić w celu nie frankowania prze-  
syłki markami, lecz ekspedjowa-  
nia za t. zw. „traktami“ (specjal-  
na opłata dla pism); jest to rów-  
nież pewniejsza ekspedycja, gdyż  
każdy egzemplarz wpisuje się do  
kontroli pocztowej.

# Humor i Satyra.



### Między literatami.

— Z okazji olbrzymiego ban-  
kructwa pewnego dyskontjera,  
wykryło się, że nasze banki nie  
chcą dyskontować weksli, choć-  
by najlepszymi firmom, o ile  
nie zażyruje renomowany lich-  
wiarz.

— To zupełnie, jak u nas.  
Niejeden czytelnik nie chce czy-  
tać książki, choćby najzdolniej-  
szego, lecz młodego autora, o  
ile książka nie jest podpisana  
firmą „renomowaną“, która też  
często musi odegrać rolę... ży-  
ranta.



### Zwugrodnienie.

Gdy jakiś dryndziarz zdziczały  
Raz wyrwał język koniowi,  
Powszechnie się oburzyli  
Na fakt ten — moralnie zdrowi.  
Więc czemu nie każdy krzyczy,  
Gdy hakatystów ród dziki  
Wydziera w ciąż, nie koniowi,  
Ale nam, ludziom, ...języki.

### Maksymalista.

— Mam przyjaciela, który jest  
zawziętym „maksymalistą“.

— Mów ciszej, a czy on jest  
na wolności?

— Nie bój się, to jest najlo-  
jalniejszy obywatel, tylko tak  
się nazywa, bo już dziesięć ra-  
zy był na „Damie od Maksyma“.



### Est modus in rebus.

Rada Państwa — pewnie  
[w celach oszczędności —  
Niechętnie miljony  
[dać chce na gmach szkoły,  
Która dla ludności  
[jest powszednim chlebem,  
Przeto podam wniosek  
[słuszny, choć wesoły;  
Niech rada przynajmniej,  
[jak w starożytności,  
Pozwala wykladać  
[pod otwartym niebem.

### Co mówi Antek.

Zapytał mnie Franek,  
[niewyraźnym tonem:  
Co wspólnego Macoch,  
[ma z Napoleonem?  
Ja ci serjo powiem —  
[proszę uniżenie:  
A no, ten i tamten  
[byli przy Helenie.



### Orły w cyrku.

Na arenie życia,  
[widząc tylko osły,  
Gdzież więc orły — pytam —  
[powiedz wieszczu wniosły.  
— Gdzież są orły? — pytasz —  
[piewca kiwnął głową,  
Są, druhu, zmierz wzrokiem...  
[arenę cyrkową.

**TREŚĆ.** Wacław Gąsiorowski, **Wojna narodów.** — Jerzy Guranowski, **Evoe vita.** — Roman Kreczmar, **Jaś-  
kowe oczka.** — Wiktor Gomulicki, **Walc nocnych mgieł.** — Józef Katerla, **Aforyzm.** — Kazimierz  
Gliński, **Stare Lwy.** — Antoni Gawiński, **Malarstwo i scena.** — Prawdziwa demokracja. — Teatr. —  
Z muzyki. — Salon Richlinga — Nowi dygnitarze. — Jasełka. — Cichy jubileusz. — Przegląd polit.  
Śmierć awiatora. — Jeszcze szpiegostwo. — Profanacja zwłok w grobowcu Karadzordzewiczów.  
Sprzeniewierzenie w konsulacie Austrjacko-Węgierskim. — Humor i Satyra.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem.  
Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz **Eustachy Czekalski.**

Kłiszę wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45.

Druk L. Billfiskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.

## OD REDAKCJI.

W № 6-ym rozpoczynamy druk ciekawego artykułu **ELIZY ORZESZKOWEJ** „Z DRÓG I LOSÓW MYŚLI POLSKIEJ“.

## OD ADMINISTRACJI.

Najbliższe już numery będziemy drukować na lepszym, specjalnie zamówionym papierze, którego na termin fabryka nie dostarczyła.

### WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnośnieniem do domu, rocznie rb. 4.— półr. rb. 2.— kwart. rb. 1.—			
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „ „ 4.60 „ „ 2.30 „ „ 1.15			
Za granicą i za oceanem „ „ „ „ 5.— „ „ 2.50 „ „ 1.25			
W Austrii i Galicji „ „ „ „ 12 kor. 50 h. „ „ 6 kor. 50 h. „ „ 3 kor. 30 h.			
Numer pojedynczy kop. 10 — halerzy 25.			

Przybywający prenumeratorowie otrzymają komplety.

Wobec wielkiego napływu prenumeraty, wysyłka 1-ych kompletów może uleść parodniowemu opóźnieniu.

Przy wnoszeniu przedpłaty prosimy Sz. Prenumeratorów o zawiadomienie nas czy, ewentualnie, posiadają już początkowe numery.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU“ w Warszawie **Mazowiecka № 5**, wszystkie księgarnie i biura dzienników.

### CENA OGŁOSZEŃ.

Nadesłane przed tekstem (za wiersz 1-szpaltowy petitowy) 40 kop., 4-ta strona okładki 30 kop., Reklamy za tekstem 25 kop., Ogłoszenia zwyczajne 20 kop., Ogłoszenia specjalne 75 kop.

## Nowość!!!

Gorsety TRIKO-ZAMSZ „Corset Maillot“ P. D. nadają figurze idealną formę.

Sprzedaż w „Brukselskiej filii P. Dutoict & Cie“

Warszawa, Wierzbowa 8. (dom dochodowy Teatrów Warszawskich) tel. № 228-57.

Katalogi na r. 1912, Firma wysyła na żądanie!

## Laboratorium D-ra Serkowskiego,

ANALIZY chemiczne i bakterjologiczne.

w Warszawie, ulica Ś-to Krzyska Nr. 16.

LEKARZ DENTYSTA

**Regina Wajnberg.**

Nowy Świat 44,— telef. 140-48.



## DODATEK HANDLOWO-INFORMACYJNY.

### Z dziedziny przemysłu i handlu.

Przez najwytrawniejszego nawet handlowca specjalistę prowadzona sprzedaż detaliczna, nie zadowoli klientów, o ile artykuły, dla detalu nabywane, nie pochodzą z pewnego źródła, to jest hurtu, pierwszorzędnego pod względem solidności i wyboru gatunków towaru. Dotyczy się to wszelkiego rodzaju artykułów wogóle a w szczególności—win i napojów, gdzie fałszerstwo lub podsufwanie zamiast gatunku prima gatunku lichego, najlepiej popłaca i najtrudniejszym jest, na razie przynajmniej, do spostrzeżenia. Hurtowy skład win — to źródło, od którego zależy i dobra „marka“ detalisty i—zdrowie, zadowolenie klienta.

Badając pilnie rozwój naszego rodzimego przemysłu i handlu, z przyjemnością prawdzi-

wą notujemy każdy dodatni w dziedzinie tej przejaw, zaznając z nim szerszy ogół, co oprócz zaspokojenia zwykłej ciekawości czytelnika, posłużyć nadto dla wielu interesowanych może, jako cenna, bo ścisła a pewna wskazówka informacyjna. W tym celu właśnie pomówię cheemu o Domu Handlowym p. f. Tomasz Zaniewicki.

Założona w r. 1895, wymieniona firma, pomimo olbrzymiego współzawodnictwa ze strony firm starszych, w krótkim stosunkowo czasie zdołała zająć przodujące miejsce, rozszerzywszy swój rynek zbytu na całe Królestwo i wiele miejscowości Cesarstwa. Przeniesiona obecnie z dawnego pomieszczenia przy ul. Senatorskiej do domu własnego przy ul. Zielnej, posiada olbrzymie piwnice centralne przy

ul. Sapieżyńskiej, a piwnicę drugą, specjalnie zbudowaną pod całym domem i podwórkiem przy ul. Zielnej. Tu mieszczą się również obszerne biura.

Firma „Tomasz Zaniewicki“ posiada wyłączną reprezentację win bordoskich znanej marki Schröder i de Constans w Bordeaux oraz przedstawicielstwo generalne jedne z największych fabryk koniaku Otard Dupuy w Cognac.

Poza specjalnością win, firma posiada olbrzymie zapasy likierów, koniaków, rumów, araków i wódek zagranicznych i krajowych różnych marek.

Rozwój szybki Domu Handlowego T. Zaniewicki jest dowodem, co może zdziałać umiejętna, wytrwała praca specjalisty przy nadzwyczaj solidnym traktowaniu stosunków z odbiorcami.